

Władysław Zajewski

W oczach historyka

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 5, 163-168

1972

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Czyżby *Listopadowy wieczór* — choć w tak odmiennym napisany stylu — był jednak suplementem do *Grenadiera-króla*?

Jerzy Jedlicki

W oczach historyka

To chyba Stendhal powiedział ongiś: „Jeżeli nie jestem jasny, cały mój świat unicestwia się”. Eseje Andrzeja Kijowskiego są klarowne, zwarte i logiczne. Dotykają najczulszego miejsca, w którym historiozofia i polityka styka się z literaturą, tak jak to rzeczywiście było w Królestwie Polskim po kongresie wiedeńskim. O tym związku już bez skrępowania i jakichkolwiek osłonek pisać będą po nocy 29 listopada 1830 Jan Ludwik Żukowski i Maurycy Mochnecki. Kijowski w podskórnym, lecz pełnym napięć fermentie romantyków widzi nie tylko bunt młodego pokolenia przeciw zastojowi i marazmowi. Dostrzega również nosicieli postępu cywilizacyjnego, którzy wprowadzili wiek XIX na ziemie polskie.

Historyk musi być świadom odrębnych praw eseistyki, korzystającej swobodnie z szokujących nawet skojarzeń, refleksji czy analogii, tak niechętnie widzianych w rozprawach naukowych. Spojrzenie wyborczego krytyka przynosi niekiedy nowe oświetlenie spraw tylko pozornie znanych i odsłania obszary nie tknięte przez historyków. Aby nie pozostać gołosłownym, powołam się na esej Kijowskiego o wpływie *Żywotów sławnych mężów* Plutarcha na mentalność młodych romantyków. Interpretowali je w duchu bardzo republikańskim. Nie tak dawno historyk francuski J. Tulard zwrócił uwagę na łamach „Revue de l'Institut Napoléon” (1969 nr 111), że dla skrajnych republikańców francuskich Napoleon stał się tyranem w sensie Plutarchowym, dlatego powinien zostać zgładzony w drodze spisku, co będzie nie tylko wymiarem sprawiedliwości, lecz wyrazem cnoty obywatelskiej. Równie odkrywcze, zapładniające są uwagi Kijowskiego o wpływie pism Machiavellego na naszych romantyków. Wolno tu chyba mówić o Maurycym Mochneckim, który mógł posługiwać się tłumaczeniem francuskim. Bagaż bowiem intelektualny tych, którzy zainicjowali *czyn*, a więc Szkoły Podchorążych, był więcej niż skromny. Wielki książę Konstanty nie znosił czytających i myślących oficerów, nawet jeżeli ich lekturą była francuska prasa konserwatywna czy klerykalna. Szef sztabu Chłopickiego, gen. Józef Mroziński, który znał bezpośrednio Piotra Wysockiego i Józefa Zaliwskiego, podkreśla dobitnie w swoich pamiętnikach niski poziom intelektualny twórców Sprzysiężenia. Pisze, że nie znali francuskiego, a Zaliwski kiepsko nawet pisał ortograficznie po polsku. Czytali co najwyżej — i to po kryjomu — „Kuriera Warszawskiego” lub „Gazetę Warszawską”. Naturalnie inny był poziom grupy „cywilów”, co trafnie zauważył Andrzej Kijowski.

Jego eseje są interesujące z jeszcze jednego punktu widzenia. Są one ilustracją znajomości zagadnień romantyzmu oraz procesów historycznych przeobrażających i formujących naród polski — we *współczesnych* kołach inteligencji humanistycznej. Zakres informacji i poglądów nie może jednak nie budzić pewnego niedosytu, rozczarowania i niepokoju u historyków. Niepokój ten nie wynika wyłącznie z niedoskonałości warstwy informacyjnej, faktograficznej, która z istoty rzeczy nie może być doskonała u eseisty. Rzecz idzie o sprawę istotniejszą: o uproszczenie czy skrzywienie procesu dziejowego, gubiące złożoną rzeczywistość polityczną, na którą nie sposób spoglądać li tylko przez lekturę dzieł Mochnackiego i współtowarzyszy.

Musimy bowiem pamiętać, że ci młodzi romantycy: publicyści, poeci, dziennikarze, nauczyciele czy oficerowie zaczynali ruch decydujący o losach całego narodu. Tymczasem tak wielu sprowadziło potem swe role do pozycji komentatorów, uciekając od czynów do słów — niekoniecznie twórczych! Przypomnę tutaj wymowne oświadczenie najradykałniejszego organu młodych romantyków, „Nowej Polski” z 28 sierpnia 1831: „Byliśmy i będziemy spokojnymi widzami, badaczami działań i sędziami czynów”. Była to deklaracja określonej postawy politycznej. A w styczniu 1831 J. L. Żukowski tłumaczył rodakom, że dzieło zainicjowane 29 listopada jest rewolucją, to znaczy „wywróceniem, zniszczeniem dawnych a zaprowadzeniem nowych systemów politycznego lub towarzyskiego porządku”. Wtórował mu J. B. Ostrowski wołając o konieczność „zanieśienia pochodni rewolucji do samej Rosji, do Rosji nas wzywającej, do Rosji błogosławiącej naszemu powstaniu”.

Płodniejsze jeszcze może być skonfrontowanie opinii Mochnackiego z rzeczywistością jego działalnością. Pisał Ludwik Nabelak na emigracji, że u Maurycego „w skutek niestałości charakteru (...) przerzucanie się z partii do partii nastają niemal tak periodycznie jak deszcze i pogody pod zwrotnikami”. Słabość czy genialność? Sprawa nie jest taka prosta, by można było odpowiedzieć jednym słowem czy zdaniem. Nie takie znów jest pewne twierdzenie, że li tylko młodzi byli zazwyczaj postępu, ofiarności, czynu. Może bliższy prawdy był Juliusz Słowacki ironizujący z Mochnackiego w *Beniowskim* („ten kostera/co wielkich marzeń nie przestając snować/ przez Dyktatora dał się ukrzyżować”) i składający hołd „staremu” Wincentemu Niemojowskiemu w *Anhellim*.

Nie należy też zapominać, że przywódcy intelektualni grupy romantyków, owi ukryci republikanie, entuzjaści Plutarcha, dość wcześnie i świadomie ograniczyli swoją rolę do funkcji opozycji pozasejmowej czy ściślej „grupy nacisku” na instytucje i osoby kierujące powstaniem, przede wszystkim sejm. Było to odejście od tradycji Kołłątajowskich. Musiało się ono także wiązać z miernym doświadczeniem w polityce praktycznej tej grupy o bardzo zróżnicowanym profilu

społecznym, składającej się — jak na łamach „Zjednoczenia” ironizowali konserwatyści — z „kilku urzędników bez posad, redaktorów i krzykaczy (...) i ludzi bez żadnego zatrudnienia”. Możliwe, że tak nazwano poetów czy dorywczych publicystów. Jakże przeto łatwo o obraz sugestywny, lecz jednostronny, gdy się zapomni, że powstanie było w końcu sprawą całego narodu. Na polach bitew, pod Białoleką, Grochowem i Ostrołęką ginęli nie tylko młodzi. Ginęli ludzie, którzy mieli za sobą twardy szlak kampanii napoleońskich i bogate doświadczenie.

Jako historyk nie mogę naturalnie pominąć realiów historycznych, bo ostatecznie są one najistotniejszą tkanką esejów Kijowskiego. Zbadajmy jej wiarygodność i rzetelność, bo w znacznej mierze rzutuje ona na całość narracji. Pisze autor, że „ruchy rewolucyjne dziewiętnastego wieku były w pewien sposób szczęśliwe, ponieważ nie miały za sobą historii” (s. 7). Nieco szokujące sformułowanie dla polskiego czytelnika. A czymże była konfederacja barska, tak przecież wysoko opiewana przez romantyków, zapominających nawet o realiach historycznych:

Jestem Beniowski, jechałem do Baru
Abym ojczyźnie mojej służył szabłą
i całą duszą.

Wszak w szeregach barzan znalazł się też młody, dwudziestojednolletni Józef Wybicki, wiedziony impulsem miłości ojczyzny! Insurekcja kościuszkowska 1794 roku też nie była ruchem ludzi starych, steranych życiem. Jej doświadczenia były często komentowane na łamach prasy powstańczej, nawet przez Mochnackiego. Była więc historia, tylko, że były odcienie w interpretacji politycznej przeszłości i głębokie różnice w wyciąganych wnioskach.

Nie można zgodzić się z autorem, że ustrój konstytucyjny i autonomia Królestwa Polskiego „były farsą ponurą i krwawą” (s. 31). Niezupełnie to była farsa, skoro istniała armia narodowa, a także „oddzielny korpus litewski z Pogonią i srebrnym Orłem (mający) na wpół polskie barwy pod obdarzonym namiestniczą w tychże guberniach władzą cesarzewiczem Konstantym” (Szymon Askenazy), polski sejm, polskie szkolnictwo wyższe i niższe, prawo i urzędy narodowe zastrzeżone dla Polaków. Ten stopień autonomii był solą w oku dla Prus i Austrii! Zaczęło się psuć od 1819, na dobre od jesieni 1820, ale daleko jeszcze było do „farsy krwawej”, skoro członków Towarzystwa Patriotycznego oddano pod konstytucyjny sąd sejmowy. Aleksander I nigdy nie koronował się na króla polskiego (s. 19 i 31), chociaż tak go tytułowano w aktach sejmowych. Koronację zgodnie z konstytucją przeprowadził dopiero Mikołaj I. Nie jest też prawdą, że Mikołaj I głosił publicznie przed 1830 r., aby Polacy „nie mieli żadnych złudzeń co do wolności konstytucyjnych” (s. 20 i 31). Przeciwnie. Mikołaj był zręcznym graczem i starał się o zachowanie po-

zorów legalizmu (głównie z uwagi na wojnę z Turcją) nawet więcej niż Aleksander I w końcowej fazie panowania. Przeprowadził koronację, zaakceptował, choć z dużymi oporami, wyrok sądu sejmowego, zaprzysiął konstytucję (wraz z artykułem dodatkowym), zwołał sejm. To, że pogardzał „polskimi deputowanymi”, to inna sprawa. Myślał o zniesieniu autonomii, lecz musiał mieć pretekst. Na razie go nie było, dlatego popierał Lubeckiego bardziej niż Nowosilcowa. Dopiero rewolucja lipcowa w Paryżu i sierpniowa w Brukseli otworzyły mu pole do działania i prowokacji.

Kijowski nieco demonizuje Święte Przymierze. Nie było ono ani tak jednolite, ani tak wszechpotężne. Anglia nie była jego członkiem i dopomogła koloniom hiszpańskim w Ameryce Południowej do odzyskania niepodległości. Rosja po cichu wspierała grecki ruch zwolęńczy wspólnie z Anglią (protokół petersburski z 4 kwietnia 1826, uznający Grecję za oddzielne państwo konstytucyjne pod nominalną władzą sułtana), co oburzyło Metternicha. Wszak w 1828 r. w. ks. Konstanty polecił uwięzionemu wówczas ppłk. Ignacemu Prądzynskiemu zrehabilitowanie planu wojny z Austrią!

Sprawa tzw. spisku koronacyjnego (s. 17—18) nie jest ani tak oczywista, ani tak jednoznaczna w literaturze naukowej. Mieli jakoby być wciągnięci do tej sprawy: Ludwik Nabelak, J. B. Ostrowski, Maurycy Mochnecki i deputowany Walenty Zwierkowski. Według relacji ostatniego rzecz uległa zahamowaniu, bo opozycja sejmowa odmówiła aprobaty i poparcia. Zapał też ostygł pod wpływem wieści o sukcesach rosyjskich w Turcji i „dopiero lipcowe wypadki we Francji otworzyły nam pole działania i odtąd prawie jawnie przypasabiano się do rewolucji”. Już wówczas, a więc latem 1830, według tejsze relacji ustalono, że „hasłem do powstania miało być ogłoszenie wyprowadzenia wojsk za granicę i zabranie pieniędzy z Banku”.

Gen. Józef Chłopicki nie przyjął nominacji na dyktatora od Rządu Tymczasowego (s. 20), choć ten mu taki akt przygotował. Chłopicki, jak notuje świadek, gen. Mroziński, rzucił pismo rządowe na stół. „Mowa Chłopickiego powiedziana groźnym tonem obraziła członków rządu i zdziwiła wszystkich obecnych”. Trochę Kijowski demonizuje dyktaturę Chłopickiego, pisząc, że zaczynała się w Warszawie diać „jak w każdym dyktatorskim państwie” (s. 22). Nie odwołał Chłopicki zwołanego na 20 XII 1830 sejmku; potem wyłoniona została „deputacja czuwająca nad władzą dyktatora”; utrzymano całą skomplikowaną strukturę władz, co Chłopicki respektował. Choć, jak wynika z relacji gen. Mrozińskiego, część konserwatywnej generalicji nalegała, aby dyktator w drodze zamachu stanu „ukończył całą tę smutną scenę” w oparciu o lojalne oddziały z prowincji, nie zarażone „duchem rewolucji”, to Chłopicki nie odważył się na taki krok. Pozbył się z Warszawy Mochneckiego, Wysockiego i Zaliwskiego, pró-

bował zastraszyć Joachima Lelewela i na tym cała rzecz się skończyła.

Gwardia Akademicka szybko się zradycyzowała, o czym autor niestety nie pisze (s. 23—24). W miarę załamywania się moralnego i politycznego autorytetu dyktatora akademicy na łamach swego dziennika („Dziennik Gwardii Honorowej”) ostrzegli Chłopickiego, że stanęli w grudniu na straży urzędu, lecz nie osoby dyktatora. Skrytykowano ks. Czartoryskiego i pochwalono „republikanina” Lelewela, zażądano restytuowania klubu patriotycznego. W konsekwencji Chłopicki zamknął pismo i rozwiązał Gwardię Akademicką.

Wspomniałem już o Mochnackim. Do eseju Kijowskiego można uczynić zastrzeżenie, że dość dosłownie i bezkrytycznie przyjmuje opinie i opinie Mochnackiego (np. o Lelewelu). Mochnackiego *Powstanie narodu polskiego* uważał Lelewel za dzieło zasługujące na to, aby „było we wszystkich językach znane i czytane”. Jeżeli nie jest wznawiane, nad czym ubolewa Kijowski, to przecie nie z winy historyków (s. 115). Ale jest to dzieło mające, upomina trafnie Lelewel, znaczne niedostatki i ogromnie dużo sofistyki. Modne stało się ostatnio przeciwstawianie domniemanego radykalizmu Maurycego, co rzekomo chciał Szkołę Podchorążych poprowadzić na Bank, by „pewien mózg finansowy prysnął, jeżeli nie pod same gwiazdy (...) to przynajmniej pod sklepienie bankowe”. Otóż całe to opowiadanie Mochnackiego Lelewel kładzie — i chyba słusznie — między bajki. Jak Mochnacki radykalizował Radę Administracyjną rozszerzoną, najlepiej charakteryzuje Lelewel: „Wszedł raz jeden do sali, pogadał z Lubeckim, sesji nie czekał i wyszedł”. Jak wiadomo, po rozpedzeniu klubu patriotycznego, gdy oskarżył Chłopickiego, że zdradza rewolucję, schronienie znalazł u... Lubeckiego. Wyszedł Lubecki z tej pogawędki w Banku pełen podziwu dla Mochnackiego, jak ironizuje Lelewel. „Dość, że nic równego nie widział i do Petersburga pojechał, a Maurycy Mochnacki w Lubelskie”. Oburza się gwałtownie Lelewel w jednym tylko wypadku, gdy mowa jest o sesji detronizacyjnej, gdzie Mochnacki „bez zarumienienia utrzymuje, że polityka Lubeckiego była moją”... Niestety, obraz Lelewela pod znakomitym piórem Maurycego jest karykaturalny, zafalszowany, niezgodny ze źródłami.

Dalej: mniemam, że w prasie powstańczej, szczególnie na łamach „Nowej Polski” były próby, choć niezbyt śmiałe, nawiązania do wydarzeń rewolucji francuskiej (s. 8). Jest ku temu odpowiednia lektura, z której autor niestety nie skorzystał. Gen. Krukowiecki nie strzelał salwami w tłum w noc 15 sierpnia (s. 24). Rozstrzelał tylko jednego sapersa, i to raczej za udział w rabunku. Była szarża jazdy poznańskiej na tłum (ale bez salw), szarża, która ocalała jeńców rosyjskich w Pałacu Brühla. Fragment dotyczący roli Adama Gurowskiego w Stanach Zjednoczonych niezbyt poprawny (zob. Arnold J. Keen: *Uczestnik niedokończonej batalii*. „Polska” 1970 nr 1).

Najostrzejszy sprzeciw budzi esej *Napoleon z nami*. Informacje o Józefie Wybickim, rzekomym „karnym urzędniku pruskim” (s. 68), są bałamutne. Ocena polityki Napoleona — choć poparta mocno naciąganym sądem prof. Handelsmana — jest stronnicza i tendencyjna. O Wybickim w epoce napoleońskiej sporo znajdzie autor chociażby w „Literach” (1972 nr 4) i tam też odsyłam czytelników eseju Kijowskiego. Sporo nowych faktów i refleksji o twórcy naszego hymnu narodowego usłyszeliśmy na ogólnopolskiej sesji w Gdańsku w czerwcu 1972 r.

Czas na rekapitulację: eseje Kijowskiego są w wielu fragmentach odkrywcze i pobudzają czytelnika do myślenia! Jednak tkanka historyczna razi niepotrzebnymi błędami i często naiwnymi sądami. Prawdą jest, jak pisze autor, że „dzieje cywilne” wypadków 1815—1830 i 1830—1831 są ciekawe. Więcej, są pasjonujące. Zaslugują na nie mniejszą uwagę niż dzieje militarne powstania listopadowego. Ale też prawdą jest, że o problematyce politycznej i ideologicznej, o ludziach i czasopismach znanych i nieznanym napisano, szczególnie po roku 1955, niezmiernie dużo.

Znakomity francuski uczony, Ferdynand Braudel, mówiąc o integracji humanistyki, nawoływał do przyznania historii roli wiodącej. Czy przynajmniej w takiej książce, jak *Listopadowy wieczór*, historia nie powinna odgrywać tej właśnie roli?

Władysław Zajewski

Romantyzm i pokolenie 1970

Kiedy przed kilku laty pokazywano w Polsce *Śmierć porucznika* Mrożka, sądziliśmy, że wielka klasyka, romantyczne mity, romantyczna legenda mogą być już tylko rekwizytem farsy, że bohater powstańczy może obudzić się dzisiaj w roli bohatera nie tragedii, ale groteski. Czasy jednak pokazały, jak bardzośmy się mylili.

W latach sześćdziesiątych, w epoce „małej stabilizacji” można się było ludzi, że na zawsze przewyciężyliśmy ograniczenia mitu heroicznego, że przełamaliśmy tragiczny los Polaków wyznaczony słowami poetów romantycznych, że udało nam się upodobnić do codzienności i normalności będącej udziałem innych narodów. Głoszono hasła adaptacji jednostki do panujących układów, hasła trzeźwości i przystosowania, małego realizmu, małych radości i małych, nieco sentymentalnych smutków. Rekordy popularności biła wówczas śpiewana przez Ewę Demarczyk do słów Tuwima piosenka *A może byśmy tak najmiłszy upadli na dzień do Tomaszowa*, albo równie